



Z NASZYCH KRAJOBRAZOW.



fot. J. Lande.

NAD MORSKIEM OKIEM (TATRY).

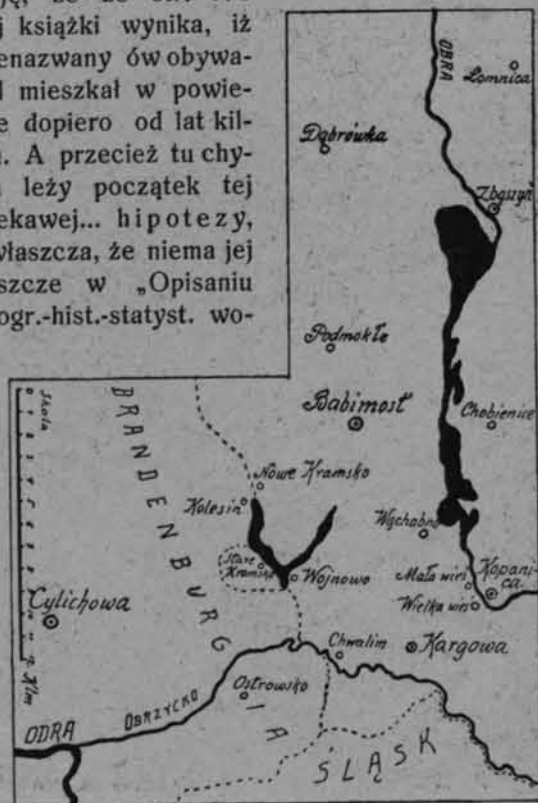


## Rzekomi „wendowie“ w Wielkopolsce.

Co jakiś czas pojawia się w pismach za statystyką urzędową wiadomość o wendyjskiej, t. j. łużyckiej wsi w Poznańskim. Ma nią być Chwalim w powiecie babimojskim, pod miasteczkiem Kargową (Karge, Unruhstadt), tuż na granicy Śląska i Brandeburgii. Tak np. w czasopiśmie „Deutsche Erde“ (wydawanem przez Langhansa w Gotha) znajduje się w t. IX (1910) na str. 24 krótka notatka p. t. „Die Wenden im Posener Weinland“. Według niej Wendowie chwalimscy są na wymarciu; przed 30 laty nie wpuzczano do wsi Niemców ani Polaków, małżeństwa dobiebrały się wyłącznie w obrębie wendyjskiej ludności tej wsi; do r. 1881 nauka przygotowawcza do konfirmacji odbywała się w kościele ewangelickim w Kargowej w języku wendyjskim, a dopiero od marca 1907 zniesiono tam wendyjskie nabożeństwa.—Przy spisie ludności z 1 grudnia 1910 podało w powiecie babimojskim język „wendyjski“ jako ojczysty 117 osób, co się z pewnością tylko do Chwalimia stosuje; 26 „Wendów“ powiatu międzyrzeckiego — to chyba wędrownie jednostki.—Za nimi i A. Boháčz w „Siedzibach i statystyce narodów słowiańskich“ na str. 138 książki „Slovanstvo“ (Praga 1912) pisze, że „kolonia łużycka w Chwalimiu w Poznańskim pomału już zanika“. Tyle z druków dzisiejszych.

Z prac historycznych przytoczę odnośnik ze str. 225 „Rysu dziejów serbo-łużyckich“ Wilhelma Bogusławskiego (Petersburg 1861): „Ogromne zniszczenie Łużyc podczas trzydziestoletniej wojny pobudziło część Dolnołużyczan wysiedlić się do Polski i na granicy jej ze Śląskiem, we wsi Chwalimie nad Obrzycą założyć osobną osadę, nie łącząc się z Niemcami. Mieszkańcy wsi Chwalima [forma to mylna, w rzeczywistości bowiem ludność mówi Chwalimia, w Chwalimiu, w zgodzie z gramatyczną zasadą tej od imienia Chwalim Chwalima pochodzącej nazwy dzierzawczej; por. Oświęcima człowieka z Oświęcimiem miastem], będąc wyznania ewangelickiego, należą do parafii protestanckiej w Kargowie, gdzie się dla nich odprawia nabożeństwo po polsku co dwa tygodnie. W Chwalimie liczą (1853 r.) 860 mieszk. Opis historyczno-geograficzny W. Ks. Poznańskiego przez F. X. Sempiańskiego. Poznań 1853, str. 53“. Ta sama wiadomość powtórzona na str. 107 łużyckiej książki „Historija serbskeho naroda“ (Budziszyn 1884), napisanej przez tegoż Bogusławskiego i M. Hórniką, w obu razach

bez podania źródła. Natomiast nic nie mówi o Chwalimiu ani wogóle o emigracji z Dolnych Łużyc w czasie wojny 30-letniej K. A. Jencz w odpowiednim rozdziale (str. 49—81) pracy „Stawizny serbskeje rycze a narodnosce“ (Czasopis Maćicy serbskeje, IV—V, 1851—52). Nie wiedział jeszcze widocznie, że „Opisanie historyczno-statystyczne Wielkiego Księstwa Poznańskiego“ (Lipsk 1846) ma na str. 188 następujący odnośnik: „Wieś Chwalim jest jedyną w całym powiecie przez Słowian wyznania luterskiego zamieszkałą. Są to Łużyczanie czyli Wendowie z Dolnej Łuzacyi. Gdy po najazdach szwedzkich kraj został wyludniony, przybyli między innymi osadnikami Wendowie, założyli osadę oddzielną, nie łącząc się z Niemcami, mimo wspólnego wyznania. Dotąd zachowali dyalekt właściwy, do polskiego zbliżony. Modlą się na książkach polskich, gotyckimi głoskami drukowanych, i należą do parafii w Kargowie, gdzie dla nich co dwa tygodnie odbywa się luterskie nabożeństwo w języku polskim. — Wiadomość udzielona przez obywatela w powiecie zamieszkałego“. Dla charakterystyki braku pozytywnych dowodów tej wiadomości dodaję, że ze str. 175 tej książki wynika, iż nienazwany ów obywatel mieszkał w powiecie dopiero od lat kilku. A przecież tu chyba leży początek tej ciekawej... hipotezy, zwłaszcza, że niema jej jeszcze w „Opisaniu jeogr.-hist.-statyst. wo-



MAPKA OKOLIC CHWALIMIA.



jęwódtwa poznańskiego“, wydanem w r. 1841 w Paryżu przez tegoż zdaje się L. P(latera), co i „Opisanie“ z r. 1846.

Od lat dziesięciu wędrując po Polsce dla badań językowych, ciekaw byłem oczywiście także owych „Wendów“, tem bardziej, że brak pewności historycznej dość silnie nasuwał podejrzenia. Pamiętałem np. „kaszubską“ według czyjeś przygodnej notatki wieś Rozental na północ od zachodnio-pruskiej Lubawy, gdy na miejscu okazało się, że dyalekt jej jak i przyległych Kazanic nic nie ma wspólnego z kaszubszczyzną. Informującego, prawdopodobnie Lubawiaka, mógł on uderzyć wymową *trowa*, *piosek*, nieznaną dyalektowi lubawskiemu, a istniejącą u Kaszubów; nie wiedział zaś informator, że cecha ta właściwa jest przeważnej części gwar czysto-polskich, a także przyległej gwarze ostródzkiej w Prusiech wschodnich, stanowiących jednak dla Polaków z Prus Królewskich świat zupełnie nieznaną, bo ewangelicki i bez polskich tradycji. Więcej wiedział, jak zwykle, lud okoliczny, nazywający mieszkańców tych wsi „starymi Prusakami“, spostrzegający zatem ich językową wspólność z Polakami Prus „Starych“, t. j. Książęcych. Otóż coś podobnego zaszło i z Chwalimiem.

W r. 1906 poznałem trochę bardzo ciekawy językowo południowo-zachodni kącik Wielkopolski, mianowicie Dąbrówkę pod Zbąszyniem i Nowe Kramsko pod Babimostem, od którego niedaleko na południe, ale za jeziorem, leży ów Chwalim. Złożyło się, że nie miałem już czasu na dłuższy pobyt, rowerem więc tylko w pogodny dzień letni dojechałem do wsi „wendyjskiej“ i w karczmie zacząłem rozmowę — po niemiecku, by przypadkiem nie zrazić niechętnego może Polakom „lutra“ lub — by ten nie zaczął mówić znaną mu oczywiście, bo w przyległych wsiach używaną polszczyzną. Zacząłem od pytań o winnice, gdzieindziej w Poznańskim nieznaną, dalej o pochodzenie interlokutora, by się upewnić, że mam do czynienia z rdzannym Chwalimiakiem, wreszcie zapytałem go wprost o narodowość i język. Był „Wendem“ i mówił po „wendyjsku“, tak mu się przynajmniej zdawało, ja jednak, nie wyprowadzając go z błędu, na podstawie dalszej, polskiej już rozmowy stwierdziłem gwarę czysto-polską, choć stanowczo nie wielkopolską ale śląską. — Zdobyte tak wiadomości zużytkowałem w „Próbie ugrupowania gwar polskich“ (Rozprawy Wydziału filologicznego Akademii umiejętności, t. XLVI str. 343, odbitki str. 10) i w „Mowie ludu polskiego“ (str. 38 i 52).

Mimo to sprawa mnie w dalszym ciągu

korciła, przy sposobności więc wstąpiłem znów tego roku do Chwalimia, ale poinformowawszy się wprzód w sąsiednim Starem Kramsku, udałem się wprost do domu najwięcej jeszcze podobno po polsku mówiącego Macieja Swady-Fiedlera (Maći Swade, genannt Fiedler). Wskazówka była dobra: sześćdziesięcioletnie to może małżeństwo mówi swoim polskim dyalektem zupełnie biegle, według żartobliwego określenia gadatliwej kobiety zwłaszcza wtedy, gdy się „wadzą“. Co prawda, to w wesolej rozmowie wpadała ona wciąż w niemczyznę, bardziej od męża. Trzydziestoletni może ich syn napewno wszystko dobrze rozumiał, ale albo po polsku mówić nie chciał, albo też język ten sprawiał mu już pewne trudności. Dzieci we wsi podobno jeszcze po polsku rozumieją, ale stanowczo już przeważa niemczyzna.

Daty notatki z „Deutsche Erde“ okazały się prawdziwymi. Jeszcze Swadzina przygotowywała się w r. 1879 do konfirmacji po polsku, ale wkrótce potem to ustało, nabożeństwo polskie zaś zniesiono w r. 1907, gdy ustąpił bardzo dobrze podobno tym językiem władający pastor Zakobielski. Nastąpiło to napewno chyba bez oporu ludności, Swada przynajmniej sam był za tem. Pozostały jeszcze na razie u starych książki polskie, drukowane szwabachą (gotykiem): Biblia (Berlin 1810, u Späthena), Dambrowskiego Samuela Kazania albo wykłady porządne (Brzeg 1809), wreszcie również brzeski z r. 1861 Kancyonał, w kościele kargowskim już oczywiście nie do użytku. Duch religijno-ewangelicki zdaje się być we wsi dość silnym, Swadzina przynajmniej opowiadała mi ze śmiechem ale i z silnym zajęciem o głosicielach jakiejś nowej sekty, mającej podobno w Chwalimiu zwolenników: według niej ludzie zmarli umierają także duszą, bo aż do dnia sądnego niema nieba ni piekła.

A teraz sam język, niewykazujący najmniejszego związku ani z dolnym ani też z górnym łużyckim. Jest to typowy dyalekt północno-śląski. Oto jego śląskie, nigdzie w Wielkopolsce nieznaną cechy: 1) t. zw. „mazurzenie“, t. j. *s s c* zamiast *sz Ź cz*: *zyto*, *courny* 'czarny', *psenica*, 2) wymowa *ε* jak nosowe *a*: *jancmijni*, *gamba*, 3) *jegwa* zamiast *igła*, też *jegiouka* 'szpilka', 4) resztką l. osoby liczby pojedynczej aorystu: *jach to swyson*, 5) *puodziymyj* 'pójdziemy', *niesiymyj*, gdy w Wielkopolsce *idymyj*, *niesymyj*, chociaż w IV konjugacji już pod tym wpływem *siedzymyj*, *widzymyj*, 6) brak przejścia *n* po *i* w *ń*: *wino*, *głina*, gdy w południowej Wielkopolsce *glinia*, *wimo* — przeciw czemu wszystkiemu jedynym typowo wielkopolskim zjawiskiem są formy *kó-*





TYPY LUDOWE Z DABRÓWKI.

fol. B. Chrzanowski.

niewi, kowoulewi, wiśniewy. Z innych, drobniejszych cech śląskich zapisałem: *banie* z dawniejszego *bandzie* 'będzie', *zouk* (t. j. *żak*) — dawna nazwa 'nauczyciela', *bulce* 'ziemniaki' — północno-śląskie *bulwy*, brak jednak śląskiej *cery* lub *cory* 'córki', zawsze *dziywce*. Z ciekawszych wyrazów jeszcze: *wolica* 'drzwi', *mal* 'tak!', *zapangwaj* 'zapnij' i 'zapiąć' (porównaj staropolskie *paŕgwica*), *pioj* z dawniejszego *piowć*, t. j. 'pisać, śpiewać' w znaczeniu 'czytać' (przedewszystkiem książkę nabożną). Ostatnie dwa przykłady, gdzie *j* przeniesiono z rozkaźnika do bezokolicznika na podstawie tożsamości tych form w niektórych koniugacjach, np. w *niys*, znaczącem 'nieś' i 'nieść', a więc zwroty: *musi pisaj*, *nie chce wziąj*, są zjawiskiem, znanem mi również tylko ze Śląska, co prawda aż z gór śląskich. Przytoczę wreszcie ściąganie czasu przeszłego żeńskiego po wypadnięciu *ł*, wymawianego jak *u*, a więc *jach swysa* 'słyszała', *jach tyg nie bra* 'ja tego nie brałam', już nawet z akcentem cofniętym na *swy*, *nie*, i opuszczanie końcowego *o* w dopełniaczu pojedynczym zaimków i przymiotników: *pszi-sou do mojjg taty* 'przyszedł do mojego taty', ze *Stouryg Kromska* — jedyną cechą znaną dyalektycznie tak w Górnych jak i Dolnych Łużycach.

Jeżeli się uwzględni, że byłem u Swadów zaledwie kilka godzin, wielu więc ciekawych rzeczy nie zdołałem usłyszeć, to mimo że rozumienie gwary chwalimskiej przez Wielkopolan i naodwrot najmniejszej — poza kilku wyrazami — nie przedstawia trudności, okaże się ona jednak od polszczyzny literackiej dostatecznie odrębną, by można z niej było wysnuć historię o lu-

żykiem pochodzeniu. Kto wie, czy nie uczynił tego który z pastorów kargowskich pro prostu w celach germanizacyjnych? Ale mógł to zrobić i bez tendencji. Zważmy tylko, że identyfikowanie polskości z katolicyzmem do dziś dnia w zaborze pruskim wielu ludziom nawet z inteligencji nie pozwala zrozumieć, by mógł być Polakiem ewangelik, zważmy, że nazw „Wenden, wendisch“ używają Niemcy dla oznaczenia zachodnich Słowian wogóle, o ile ci nie są wyraźnymi Polakami (lub Czechami), a rzecz stanie się zrozumiała. Sami Chwalimiacy niezupełnie się w tem oczywiście orientują.

Jeżeli mówią *my som polskie niemcy*, oznacza to po polsku mówiących ewangelików, zupełnie jak u ogółu ludu wielkopolskiego, dla którego każdy ewangelik, choćby nawet po niemiecku nie umiał, jest Niemcem. Mówią też jednak: *po naszymu*, wyraźnie przeciwstawiając swą mowę językowi polskiemu Wielkopolan i książek. Prosiłem Swadziny, by mi co przeczytała z kancjonału. Okazało się, że zamiast *sz ż cz* wymawiała oczywiście swoje *s z c*, ale, co ciekawsze, nie pojmowała *ł* jako swoje wargowe *u*, lecz jako *l*, np. *rzeł* 'rzekł', *zmiłuj sie*, *by* zamiast swojego *bóu* i t. p. Prawdopodobnie czyniła to pod wpływem „pana duchownego“ lub jeszcze i po polsku ją uczącego *zouka*, wszystko jedno czy wymawiali oni zębowe *ł*, jej nieznanne, czy też zastępowali je z niemiecka przez *l*. Stąd też pochodzi jej wymowa wyrazu *ćlowiek*, obcego widocznie gwarze chwalimskiej, a mającego w wymowie *zouka* dwa nieznanne jej dźwięki *cz* i *ł*, pojęte przez nią jako *ć* i *l*. Tenże wpływ prawdopodobnie w zwrocie *lzy mu lecom z uóc*; mógłby to wprawdzie znów być zabytek śląski, bo cała północ Śląska mówi *lza*, ale skoro zwykłym wyrazem na to pojęcie jest w Chwalimiu *kropla*, przeto prawdopodobniejszy ów wpływ „literackiej“ polszczyzny.

Możliwe jeszcze byłoby przypuszczenie, że Chwalimiacy przyszli z Łużyc, ale przyjęli język otoczenia, w danych warunkach jednak mało to prawdopodobne. Skoro zachowała wyraźnie swój język od XVII w. czeska kolonia Tabor w powiecie sycowskim (Gross Wartenberg) na granicy powiatu kępieńskiego, to jakżeby się mo-



gło tak nic nie zachować z pierwotnej „wendyjskości“ we wsi nawet nie otoczonej jednolitą mową, ale leżącej na pograniczu dwu dialektów? Ważne byłoby jeszcze zbadanie Ostrowska (Ostritz), wsi leżącej za rzeką Obrzyckiem (Faule Obra), a więc już w Brandeburgii, niecałą milę na południowy zachód od Chwalimia. Jeżeli prawdą jest, że kilku starych, mówiących tam jeszcze po polsku, ma ten sam dialekt co Chwalim, jak twierdzą Swadowie, to chyba i u naszych „Wendów“ mamy do czynienia z resztką niezgermanizowanych Ślązaków, zachowaną może wskutek politycznej przynależności do Polski. Ale i bez tego — dopóki nie znajdzie się jaki historyczny dokument — nie da się utrzymać nietylko dzisiejsza językowa łużyckość, ale nawet łużyckie pochodzenie Chwalimia.

Pochodzenie takie jest tem mniej prawdopodobne, że gwara chwalimska łączy się nietylko ze śląskimi, ale i z niektórymi poznańskimi, co zdaje się świadczyć o bardzo dawnym sąsiedztwie. Przedewszystkiem wchodzi tu w grę dwie wsie: Stare i Nowe Kramsko, z mową wybitnie od wielkopolskiej różną. Jedna jej cecha zwróciła uwagę już dawniej. Oto co czytamy w odnośniku str. 188 cytowanego wyżej „Opisania...“ z r. 1846: „Mieszkańcy Kramaska Nowego, lubo nad samą granicą niemiecką położonego, są wszyscy Polacy i nietylko mówią czysto po polsku, ale wyrażają się lepiej niż zwykli włościanie, nie używają zamiany głóski *a* na *o*, jak to czynią w całej Wielkopolsce. Podług podania ma to pochodzić stąd, że za czasów prześladowań religijnych panowie polscy założyli tu dla siebie osadę, z której się łatwo za granicę schronić byli mogli. Tę osadę w czasach spokojniejszych mieli rozdarować dworskim swoim, którzy, nawykli do lepszej wymowy, następcom swoim ją przekazali w dziedziectwie“. Objaśnienie faktu jest oczywiście nad wszelką miarę naiwne, nie mówiąc już o tem, że jedynie brak ogólnie wielkopolskich i śląskich *trowa*, *prowda* zbliża tę gwarę do dzisiejszej mowy literackiej, poza tem roi się ona od różnych cech gwarowych (zob. „Mowa ludu polskiego“, str. 39). Przytoczę z nich jedną, najbardziej w uszy bijącą, mianowicie wymowę każdego *e* jak *a* i każdego *a* przed *m* *n* jak *ó*, a więc *zóm* b i *zóm* by, *piónta* 'pięta', z zatrąta nosowości *mióso* 'mięso', dalej *sóma* 'sama', *śniadónie*, co się da wyjaśnić tylko przez przyjęcie dawniejszego nosowego *a*, jakie się do dziś słyszy w Chwalimiu. Ten związek z Chwalimiem mimo braku t. zw. *a* „pochyłonego“, mazurzenia, aorystu i formy *jégu*a, mimo

celownika *kuniowi* 'koniowi' jest jednak widoczny w istnieniu i tu postaci: *ja móm syna jednyg, do Staryg Krómska* jakoteż *niesime, pszydzi-me* zamiast wielkopolskich *niesymyj, pszydymyj*. Otóż te końcówki: kramsko-chwalimskie *-g* i kramskie *-me* zamiast *-my* są bardzo a bardzo ciekawe. Bo *-g* zamiast *-go* istnieje (poza nieobchodzącym nas tu językiem serbo-chorwackim) z całej Słowiańszczyzny tylko dialektycznie w dolno- i górno-łużyckim, i to już na początku XVII w.; podobnie *-me*, znane gdzieindziej, np. w czeskim, z całej Polski występuje jedynie w Kramskach, z całych Łużyc tylko na samym wschodzie, i to znów już od XVI w.

A zatem może i jest łączność tego zachodniego krańca Wielkopolski z Łużycami, chociaż inna niż wymieniona na początku artykułiku! Istotnych, głosowych cech łużyckich niema tu zupełnie, są jednak ślady pewnej wspólności morfologicznej (co do końcówek). Otóż można zapytać: czy jest prawdopodobnem, by *-me* (które może być bardzo stare, pierwotne) i *-g* (napewno niezbyt dawne) zupełnie przypadkiem istniały tylko na samym zachodzie Polski i tylko na wschodzie Łużyc? Gdy się zważy, że kraje te oddziela dziś przestrzeń zaledwie ośmdziesięciu kilku kilometrów i że jeszcze w XVI wieku języki polski i łużycki graniczyły z sobą przez Bobrę i Odrę, to kusi do przypuszczenia, że cały ten zgermanizowany później pas również miał *-me* i *-g*. Jest to tem możliwsze, że wymarłe wschodnie dialekty dolno-łużyckie: gubiński (Guben) i żarowski (Sohrau), niejedną miały cechę przejściową do polszczyzny.

Bardzo oczywiście wątpliwe, czy tradycya „wendyjskości“ Chwalimia w jakimkolwiek z tymi faktami pozostaje związku, zwłaszcza że silniejsze są one w katolickich Kramskach, a po części sięgają jeszcze dalej na północ, do Dąbrówki, na zachód od Zbąszynia. I w tej wsi słyszy się jeszcze: *dzie mocie waszyg* (lub *waszych*) *kunia* i *w moich* (lub *w moig*) *rękach*, ale, jak z przykładów widać, dopełniacz liczby pojedynczej na *-g*, brzmiące oczywiście na końcu wyrazu jak *-k*, pomieszał się z dopełniaczem liczby mnogiej na *-ch*. Punktem wyjścia dla tego zmieszania, trafiającego się i w Kramskach, mogło być pospolite u ludu używanie liczby mnogiej, gdy się mówi o starszych, np. *nasí dziadek, u naszych dziadka*; w Dąbrówce używają dziś, bez różnicy liczby, jedni form na *-ych* *-ich*, drudzy na *-yk* *-ik*, co prawda tylko w zaimkach, bo przymiotniki kończą się tu na *-ego*. Poza tem wieś ta znów ma bardzo ciekawą gwarę, której jednak nie można stawiać na





równi z chwalimską ni kramską: jakkolwiek różna od typowego dyalektu wielkopolskiego, da się ona jednak z niego wyprowadzić jako dalszy rozwój, po części zaś łączy się z gwarami zachodnio-północnego paska tej prowincji, ciekawymi, ale nie tak osobliwymi jak omówione. Natomiast istniejące jeszcze w przyległej południowej Brandeburgii polskie nazwy niemieckich już dziś miejscowości mają nieraz śląskie (i kramsko-chwalimskie) nosowe *a*, np. *Kranz* (polskie *Kresko*) lub *Skampe* (t. j. *Skepe*).

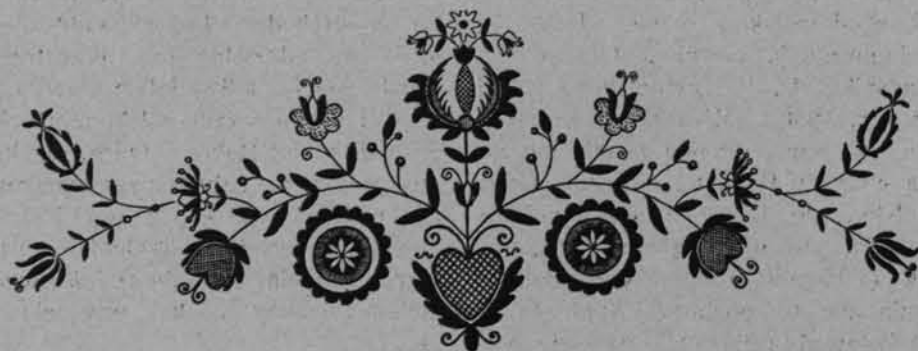
Odrębność dyalektów często idzie w parze z odrębnością etnograficzną. Tak i tutaj zupełnie osobną grupę stanowi dla siebie ewangelicki Chwalim, zamkniętą w sobie parafię oba Kramsko z Wojnowem (u ludu *Wujnowo*), z których Stare Kramsko ciąży już ekonomicznie do brandeburskiej Cylichowy (Züllichau). Najodrębniejsi jednak są mieszkańcy Dąbrówki: stanowią dla siebie osobną parafię, nie żenią się poza wsią, zachowali też zupełnie różne od wielkopolskich barwne szaty kobiece i czepki. Dyalektycznie do Dąbrówki należą też zdaje

się Podmokle (parafia babimojska). Odrębność etnograficzna tych wsi nie przeszkadza jednak wyrobionemu poczuciu narodowemu (w przeciwieństwie do niemczących się Chwalimiaków), popieranemu zamożnością: *Krómszczóny* w ostatnich czasach nie tylko nie tracą ziemi, ale osadzają się w przyległym niemiecko-ewangelickim brandeburskim Kolesinie (Goltzen).

Natomiast normalnym dyalektem wielkopolskim mówią już wsie: *Wielgiwieś*, *Mawywieś* (formy wzięte z dalszych przypadków: *Wielgi* t. j. 'Wielkiej' wsi) i *Wąchabno* parafii *kopanińskiej*, a dalej *Chobienice* i *Łomnica* parafii *zbaşskiej* (istnieje jeszcze ta pierwotna forma przymiotnika do dzierżawczej nazwy *Zbaşzyn*, dawniej *Zbaşzyn*).

Dodam wreszcie, że okolica zachęca do wycieczki: winnice chwalimskie, piękne jezioro wojnowskie, ładny stary kościółek w Nowem Kramsku, barwne stroje kobiece w Dąbrówce i niejedno jeszcze zapewne, dopiero przy pieszej odkrywanej wędrówce.

Kazimierz Nitsch.



## GD A Ń S K. <sup>3)</sup> (dok.).

### III. MALOWNICZOŚĆ MIASTA.

Typową cechą naszych czasów jest chorobliwie rozwinięta podróżomania. Wyjazd za granicę stał się dziś taką samą i powszechną koniecznością, jak wyjazd do wód. Często ten ostatni jest pozorem dla pierwszego. Wyjeżdżamy dziś przedewszystkiem dla zwiedzenia obcych miast, muzeów i kościołów, dla poznania kraju i okolicy. To zwiedzanie już tak się dzisiaj przyjęło, że stało się niemal czemś podobnym, jak obowiązujące wszędzie i zawsze zwykłe formy towarzyskie. Po przyjeździe do obcego miasta pierwszą czynnością jest naturalnie wy-

szukanie wszystkich rzeczy godnych widzenia i zwiedzenia. Nieznajomość tych rzeczy można jeszcze przebaczyć stałemu mieszkańcowi miasta, ale nigdy obcemu. Spotka go za to oburzenie, lekceważenie, a nawet czasem pogarda.

Możnaby nie mieć przeciw temu nic do zarzucenia. Przeciwnie wypadałoby się cieszyć, gdyż poznawanie obcych stron i krajów i porównywanie ich ze swymi przysparza zawsze korzyści duchowych, podnosi poziom kultury — gdyby istotnie tak było. Niestety dzisiejsze podróżnictwo stało się bezmyślnem i przez to szkodliwem. Przeszło dziś w modę, obowiąz-



jąca każdego mniej więcej szanującego się osobnika. Wyjeżdżamy, zwiedzamy zabytki dawnej sztuki nie po to, aby je poznać, czegoś się nauczyć, ale aby móż się pochwalić, gdzie się było, lub dla zaspokojenia samej potrzeby bezmyślnego podróżowania. A zatem korzyści z takich wyjazdów za granicę — jak widać — niema żadnych. Mimo to każdy z takich podróżników uważa się — właśnie z tytułu swych podróży — za znawcę w sprawach artystycznych, uprawnionego do decydującego zabierania głosu, bodajby w gronie znajomych. Oni to właśnie — ci samorodni znawcy — przyczyniają się głównie do zamieszania pojęć estetycznych wśród ogółu, co fatalnie odbija się na rozwoju sztuki.

Tymczasem każde stare miasto, które swej sztuki i kultury nie zamknęło po muzeach, jest właśnie otwartą księgą mądrości dawnych wieków. Z niej trzeba się nam uczyć, jak żyć i mieszkać można najpraktyczniej. Takim właśnie miastem jest Gdańsk. Tu bowiem w wyższym stopniu, niż gdzieindziej zachował się dawny charakter miasta, Bo chociaż już z początkiem minionego wieku nieznany autor „Listów z Gdańska“ narzekał, że nastaly czasy, w których się więcej burzy, niż buduje, to przecież dawna kultura Gdańska ocalała w znacznej części przed powodzią zniszczenia.

Najwięcej charakterystycznymi cechami Gdańska jest uroczą zacisność i pogodny spokój, które w niewysłowiony sposób odzywają się w każdym kącie. Tu można dopiero odczuć różnicę pomiędzy życiem dawnych czasów a obecnym. Dziś szukamy szczęścia daleko od siebie, trawieni gorączką i ustawicznymi niepokojami. Dawniej ludzie znajdowali to szczęście w najbliższym otoczeniu, w ciszy ogniska domowego i pracy, którą uważano za cel życia. Stąd rodziło się przywiązanie do swego kąta domowego i do miasta rodzinnego. Każdy z dawnych obywateli czuł to doskonale, że jego dobrobyt jest zarazem bogactwem miasta i nie żałował często grosza na przyozdobienie domu. Ponieważ zaś pod tym względem kwitła między mieszkańcami chwalebna rywalizacja, więc też Gdańsk w ciągu dwóch ostatnich wieków przynależności swej do Polski posiadał tak piękną, tak bogatą i misterną szatę, jak mało które miasto w środkowej Europie.

Pójdźmy na przedmieście Alstadt i stańmy w pobliżu kościoła św. Elżbiety. Przed nami roztoczy się obraz nieporównanej piękności. Leniwo płyną wody rzeki Raduni, ocienione szeregiem wyniosłych drzew. Po obu brzegach stare, holenderskie domy, z ciemno-czerwonej

cegły, o wysokich oknach oszklonych w drobną kratkę, zakończone rzeźbionymi szczytami, jak precudna koronka. Poprzez korony drzew słońce przelewa swe złote blaski w wodę, jakby uśpioną. Czasem tylko płynący łabądź, muskając skrzydłem, zmarszczy zwierciadło wodne, a wtedy wieża kościoła św. Katarzyny załamie się w tysiączne zygzaki, by znów niebawem powrócić do linii nieskażonej czystości.

Idźmy parę kroków dalej, obraz się zmieni. Niema już drzew ani cienia. Jest pełnia słońca i światła. Górę obrazu zajmuje ogromna, smukła wieża św. Katarzyny — dół znowu woda. Rzeka rozszczepia się na dwa ramiona i obejmuje sobą jakieś zabudowania. Wyrastają one prosto z wody, okryte zbitą, ciemną gęstwą bluszczu. Jest to domek młynarza z surowej cegły, poczerniały od starości. Już z górą pół tysiąca lat liczą jego mury, a silny jeszcze jest i sposobny. Za nim dopiero rozsiadł się stary młyn krzyżacki, dziwna i tak charakterystyczna budowla. Jakąs surową powagą przemawiają te ciemno-czerwone ściany. Nad nimi wysoki, spadzisty dach z szeregiem jednakich okien. Stłumiony, miarowy odgłos dochodzi nas z jego wnętrza — znak, że pracuje on tak samo, jak przed wiekami. Od jego powstania tyle się zmieniło w około, miasto się całe przebudowało, tylko on jeden, nieczuły na wszelkie zmiany, przetrwał wieki zawsze jednaki. Jak dawniej, tak i teraz z pod olbrzymich jego kamieni wysypuje się zboże białym puchem. Właśnie na wielki wóz ładują ogromne wory mąki, a ciemne ściany osypane białym obłoczkiem, mogłyby długo nam opowiadać, ile już ich widziały w swem życiu.

Przechodzimy koło młynów i stajemy wprost kościoła św. Katarzyny, albo raczej nieco z boku. Przed nami znów rozciąga się charakterystyczny gdański obrazek: maleńki, prawie trójkątny, zamknięty plac. Jeden bok jego tworzy imponująca rozmiarami i powagą wyrazu świątynia Pańska z przyczepionym, małym domkiem kościelnym. Ogromne płaszczyzny murów o tonie ciemno czerwonym wywołują wrażenie jakiejś pogodnej,kojącej zacisności. Przeciwniegi bok placu — to szereg drobnych domków. Wśród nich uderzają trzy bliźnię, jednakowe. Dwuokienne ich fasady, dziś już szerniałe i biedne, o przepięknych, koronkowych szczytach, i wysokich w kratkę oszklonych oknach, każdy z osobnym tarasem czyli beiszlagiem, mówią do nas niewypowiedzianym czarem. Istotnie trudno mu się oprzeć. Podchodzę bliżej do środkowego domu, zaglądam przez okno do środka i — jakież zdziwienie, gdy zamiast spodziewa-



DOM TORTUR I STOCKTURM W GDAŃSKU.



„AM SANDE“ W GDAŃSKU

fol. F. Klein.

nego opuszczenia, zastają przeciwie sień wchodową urządzoną z wykwintną prostotą, pełną starych pięknych mebli gdańskich. Dowiaduję się, że tu mieszka pastor kościoła św. Katarzyny, archidyakon Blech. Po chwili rozmawiam już z uprzejmym staruszką, który mile zdziwiony, że ktoś zwrócił uwagę na jego domek, prowadzi mnie do środka.

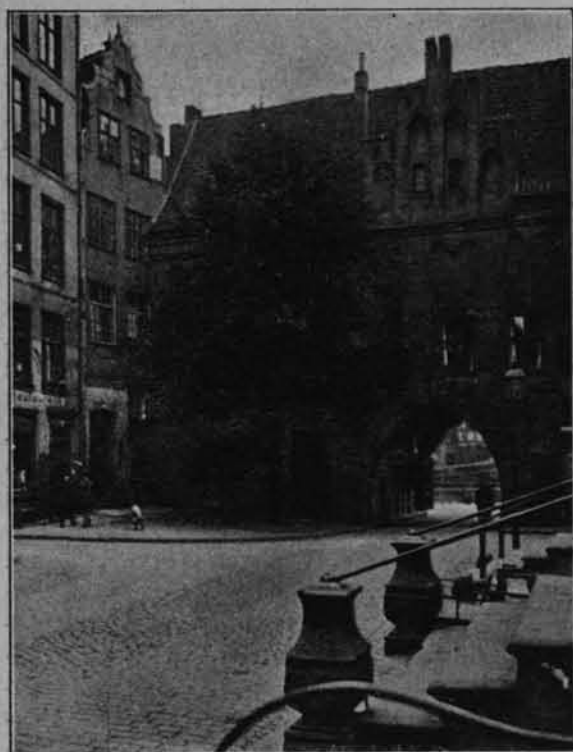
Po paru schodkach wchodzimy przez śliczne drzwi rokokowe, w ukośną kratkę oszkłone, do pokoju na parterze. Widzimy, że choć o nieco przytłumionem świetle, ma bardzo piękny sufit, przybrany w bogatą sztukateryę. Pastor Blech pochodzi ze starej rodziny gdańskiej i zakochany jest w rodzinnem mieście. Kiedyś podnosił urok i piękno Gdańska, smutno się tylko uśmiechał. „To, co pan widział — mówił — to ostatnie resztki. Starego Gdańska już prawie niema. Wymarł albo rozproszył się po świecie. Niema już starych rodzin mieszczkańskich, a zabytków dawnego przemysłu artystycznego już niewiele pozostało. Tu i owdzie można jeszcze takie resztki napotkać. Z nich dopiero możemy mieć pojęcie, jak okazałe, jak celowe i naprawdę piękne ramy życia umiało sobie stworzyć niegdyś to miasto“. Pastor Blech jest także autorem ładnej książeczki o Gdańsku.

Pożegnawszy miłego staruszką, opuściłem uprzejmie progi jego domu. Poza kościołem

św. Katarzyny wznosi się drugi, równie wielki z klasztorem, zamienionym na koszary. Otaczają go stare, kręte uliczki. Jedna z nich, zwana Nonnenhof, jest napewno najciekawszym, najbardziej typowym kątem starego Gdańska. Chwila spokoju i zasluchania się w pogodną ciszę tego ustronia może w nas wywołać złudzenie życia w zupełnie innym wieku. Bo tu jeszcze starem tętnem bije życie i murów i ludzi. Nizkie a schludne staroświeckie domki zamieszkuje przeważnie uboga ludność rzemieślnicza. Są to już po większej części starcy. Ostatnich chwil życia nic tutaj nie ma. Nie słychać tu ani turkotu wozów, ani gwaru ulicznego. Czasem przemknie się zwolna uliczką jakaś postać, witana ze wszystkich okien przyjemnym uśmiechem. Tu bowiem wszyscy mieszkańcy tego zakątka znają się dobrze. Za to pojawienie się kogoś nieznanego wywołuje zdziwienie i ciekawość.

Naraz wśród ogólnego spokoju rozbrzmiewa jakaś dziwna i prześliczna zarazem muzyka. To zegar, grający na wieży kościoła św. Katarzyny, dziwną melodią dzwonów zaczyna wydzwaniać godzinę. Oglądam się i oto mam jeden z najpiękniejszych obrazów Gdańska: przedemną mała, niepokaźna na pozór uliczka; bok jej tworzy ściana kościoła brygidek. Nad nią wystrzela prawdziwy las mniejszych i wię-





BRAMA ULICY BROTBÄNKERGASSE W GDAŃSKU.

NOTNENHOF Z WIEŻĄ KOŚCIOŁA BRYGIDEK W GDAŃSKU.

kszych wieżyczek, zakończony jakąś nieporównanie smukłą sylwetą wieży czy sygnaturki. To kościół św. Katarzyny, widziany od chóru, przez wąską szczelinę uliczki, którą zamyka. Cechą zaś gotyku bałtyckiego jest bogactwo różnych wieżyczek i ażurowych często szczytów naw kościelnych. Dlatego właśnie widok na kościół z tego punktu jest taką ich wiązką, od niższych do coraz wyższych, kończąc wreszcie na szczytowej sygnaturce samej wieży.

Skręcamy w bok i znowu przed nami piękny obraz starego Gdańsk: wąska, staroświecka uliczka, zamknięta potężną, czworoboczną wieżą św. Brygidy. I tak co parę kroków napotykamy coraz nowe obrazy, jeden piękniejszy od drugiego. Cisza i spokój, pogoda mieszkańców i wygoda ich mieszkań odzywają się do nas ze wszystkich stron. Ciszę tę przerywa jedynie co godzinę dziwna melodia dzwonów. Godzi się ona z nastrojem tych murów i uliczek, pozostawiając wrażenie niewysłowionego czaru i poezyi.

#### IV. ŚRÓDMIEŚCIE.

Śródmieście Gdańskie, t. zw. „Rechstadt“, to kompleks miasta, oparty z jednej strony o kanał czyli Motławę, z drugiej—o dawne wa-

ły, dzisiejszy dworzec kolei. Tak się to szczęśliwie składa, że obcy przybysz dostaje się od razu w serce starego Gdańsk. Śródmieście Gdańskie — to sieć małych uliczek o wąskich a wysokich domkach. Chodzi się po nich bez przerwy i nacieszyć się nie można ich miłym wyglądem. Mają w sobie coś z serdeczności starych przyjaciół czy znajomych. Zaciszne uliczki starego Gdańsk, ileż piękna kryjcie w swych murach, jakie bogactwo motywów zdobniczych! Mówią, że często przypadek i los szczęśliwy kierował waszą strojnnością. Tymczasem nie. Po głębszym namyśle poznaje się, ile pracy, myśli i wysiłku ducha leży nawet w drobnym szczególe. Tylko tego nie widać od razu. Dla oka ukazuje się jedynie skończona forma, która swym powabem i lekkością każe zapominać o trudach myśli.

Naraz w zakręcie ulicy wyrasta przed nami jakiś kolos i drogę zagradza. Ze zdumieniem patrzymy i poznajemy, że to kościół maryacki. Ten potwornej wielkości gmach, wciśnięty pomiędzy maleńkie uliczki i domki, sprawia wrażenie dysonansu. Jakże inny duch czasu przemawia z tych murów: siła, groza i nieprzystępność. Próżnobyś się w nich dopatrywał gotyckiej lekkości i koronkowej, przejrzystej lotności form. O tem tu nawet nie myśl. Raczej zapomnij o wszystkich cudach gotyku



zachodniego. Jakaś brutalna pierwotność wieje z tego kościoła. To nie świątynia pańska wolnego narodu, prędkiej twierdza, która zarazem jest domem bożym. Nie darmo stawiał ją zakon krzyżacki. Od czoła jej wznosi wieża przeszło sto metrów wysoka. Na szerokiej, kwadratowej zasadzie wzniesiona, posiada od podstaw aż do szczytu jednakową objętość. I przez to właśnie ma w sobie ta wieża coś potwornego. Zwłaszcza widziana z daleka, gdy na jasnym tle nieba dominuje wysoko ponad miastem — albo z najbliższego sąsiedztwa, z drobnych uliczek, w których wyrasta niespodzianie przed zdumionym okiem.

A jednak po chwili, gdy się pogodzimy z wyglądem i formami kościoła, zaczniemy z wolna odczuwać piękno tych murów. Ogromne, czerwone ich płaszczyzny, pełne powagi i spokoju, jak łagodnie i kojąco wpływają na bieg naszych myśli. Świątynię maryacką otaczają dokoła odwieczne — tak stare jak ona sama — małe domki z surowej cegły. Bardziej harmonijnego otoczenia trudno sobie wyobrazić. Urok tych kątów podnoszą jeszcze zielone bukiety drzew, gdzieś tam rosnących. Mógłbyś się słusznie ludzić, że jesteś w pięknej Holandii, albo że patrzysz na któryś z uroczych obrazów Jana van der Heyden.

Zwłaszcza ciekawy jest niezmiernie narożny domek przy *Krämergasse*. Mieszka w nim proboszcz katolicki królewskiej kaplicy. Przez małą sionkę po schodach sklepionym korytarzem dostajemy się do kaplicy. Zbudował ją król Jan III Sobieski. Bogate wnętrze barokowe ukazuje od ulicy św. Ducha piękną fasadę, z dwoma skrzydłami szczytowymi po bokach i z dużą kopułą w środku. Tarcze z herbem „Janina“, przypominają królewskie pochodzenie tego pomnika architektury.

Obchodząc kościół maryacki dokoła, natrafiamy od strony wielkiego ołtarza na *Frauen-gasse*, małą uliczkę, która jest najcenniejszym klejnotem starego Gdańska. Pozostała do dziś nietknięta, nieskażona duchem bezmyślnego modernizmu. Zachowała całą krasę dawnej strojności. Z jednej strony zamyka ją wysoka ściana kościoła i ostremi iglicami swych wieżyczek góruje wyniosłe ponad linią domów. Z przeciwnego końca przysadzista gotycka brama przepuszcza nas na kanał. Sąsiaduje z nią budynek Tow. przyrodniczego, który służył niegdyś za dom handlowy obcych firm kupieckich, a ciekawa jego architektura i wieża wskazują, że został wzniesiony w czasach renesansu, prawdopodobnie przez artystów holenderskich.

Wnętrze ulicy — to najpiękniejszy obraz

starego miasta. Oto po obu stronach szeregi starych, prześlicznych domków. Każdy z nich ze swym koronkowym szczytem i daleko wysuniętym tarasem zaprasza cię niejako do wejścia. Jakiż miły, zaciszny spokój panuje tutaj. Zrzadka rozrzucone zielone bukiety drzew dodają jeszcze więcej uroku. Nie zapomnę nigdy wrażenia, kiedy po raz pierwszy zaszedł na tę uliczkę. Było to wczesnym rankiem. Idąc przecznicą, znalazłem się naraz w pośrodku *Fraueugasse*. Jeszcze wszystko spało: ludzie, mury i drzewa. Najmniejszy ruch nie płoszył snu. Była to chwila niewysłowionej ciszy, wśród której zapomnieć mogłeś o dzisiejszym świecie, snując uludne marzenia o minionej przeszłości.

Ale i tuż obok, na *Joppengasse*, ujrzysz obraz starego miasta. Przepych i bogactwo fasad jeszcze większe. Niestety obraz już uległ zepsuciu. Domy nie mają już beiszlagów. Poiniszczono je, bo podobno nie zezwalały na żywszą komunikację. Dziś już ich niema, a mimo to na ulicy żadnego ruchu nie widać. Przeciwnie, te tarasy nie zawadzały nikomu. Usunęła je bezmyślność ludzka. Dziś postęp i rzekomą wyższość widzi się jedynie w wandalskim niszczeniu kultury dawnych wieków.

Nie wiem, czy w poczuciu wstydu wandale gdańscy po dokonaniu zniszczenia tarasów postąpili tak nierozumnie i nielogicznie. Oto pozostawiali zewnętrzne balustrady tarasów w miejscu, gdzie się one kończyły. Ale gdy przedtem balustrady zamykały tarasy, o dwa lub trzy stopnie wzniesione nad poziomem ulicy — to dziś stoją wprost na ziemi. Niczego sobą nie zamykają i wywołują wrażenie śmieszności. Rzeczywiście, ni przypiął ni przylatał do ulicy te szczątki pięknych tarasów. Są one tylko dowodem, że nie było istotnej potrzeby usuwania.

Dużo lepiej zachowała się druga połowa uliczki, zwana *Brotbänkergasse*. Zwłaszcza schodząc ku kanałowi, natrafiamy na okazy bardzo pięknych domów. Ale jeśli chcesz poznać naprawdę mieszkania, musisz tu i owdzie wstąpić do środka. Już z rozkładu sieni widać, ile myśli i zastanowienia wkładał budowniczy przy zaprojektowaniu wnętrza. Tu dopiero możesz nauczyć się, jak dawniej umiano wyzyskać każdy kawałek miejsca. Ile z maleńkiej, wąziutkiej stosunkowo parceli musiano wydobyć przestrzeni. A przy tem wszystkiem zadziwi cię wykuint form, jaki uderza w drobnym często szczególe. Tu nauczysz się cenić drzewo, gdy poznasz, jak wyborny to materiał budowlany.

Charakterystycznym dla domów gdańskich jest podział parteru. Jeżeli np. dom ma trzy



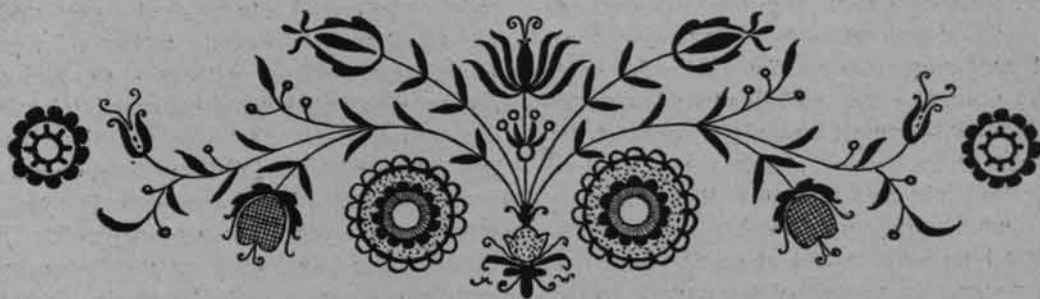
okna frontu, to zwykle dwie trzecie szerokości przypada na sieni wchodową. Wejście ujmuję najczęściej ozdobny portal kamienny i brama, światło zaś otrzymuje sieni najczęściej przez okno przy bramie. Resztę parteru wypełnia wązki, podłużny pokój. Nad nim znajduje się zwykle drugi na poziomie półpiętra. Jest to niska izdebka, przeznaczona zwykle dla odźwiernego. Ma ona niemal zawsze dwa lub trzy okna, skierowane do wnętrza sieni. Aby zaś wchodzących można lepiej widzieć, są te okienka nieco wysunięte z powierzchni ściany, tak że tworzą sobą trójkątne wysoki. Prowadzi do tego pokoiku odnoga schodów, rodzaj balkonu lub galeryi, przerzuconej w poprzek sieni, tuż pod sufitem. Ma to w swoim rodzaju dużo powabu, zwłaszcza jeśli uwzględnimy wielką ozdobność form. W tym właśnie kierunku powstał w ośmnastym wieku, w okresie błyskotliwego rokoka, cały szereg prawdziwych pereł dobrego smaku.

Dziś jednak coraz mniej tych przykładów. Powoli znikają sienie wchodowe i dawne urządzenia mieszkań. Tu i owdzie jeszcze napotkasz je, ale to już ostatki przeważnie. Dlatego godzi się podnieść dar ostatnich członków możnej rodziny Uphagenów, którzy zapisali mia-

stu jeden z najpiękniejszych domów patrycyuszowskich w Gdańsku. Wznosi się przy Langgasse 12, zbudowany w drugiej połowie XVIII wieku. Oprócz wykwintnej fasady, zachował całe urządzenie wewnętrzne. Przyznać trzeba, że godne jest ono najwspanialszych salonów królewskich. Wszystko, co się tam znajduje, a więc kominki, piece, zegary, świeczniki, meble, lustra i drzwi jest prawdziwym cackiem sztuki. Wszystko nosi piętno jednego czasu, t. j. rokoko lub stylu Ludwika XV. Przekazane miastu — zostanie na wieki żywym świadectwem jego dawnej kultury.

Kiedy mowa o domu Uphagenów, warto chwilę uwagi poświęcić samej *Langgasse*. Jest to główna ulica miasta. Tu koncentruje się największy ruch handlowy. Naturalnie, że ulica zmieniła swój wygląd. Znikły już dawne bejszlągi, a w szeregu domów starych spostrzeżesz znaczne szczyby, w postaci ohydnych *warenhauzów*, o olbrzymich otworach wystawowych, zalegających całe fasady. Tak to dzisiejsze potrzeby handlu niszczą kulturę dawnych czasów, wypychając na jej miejsce najwstrętniejszą tandetę życia i przemysłu. Dziś rzekomy postęp szerzą ludzie o ciasnych, niemal cielejących mózgach, wyzuci zupełnie z uczuć estetycznych.

*Franciszek Klein.*



## WIGILIA W PARANIE.

W roku 1908 wigilię spędzałem w Paranie.

W tem, co się mówi o tym pięknym kraju na jego niekorzyść, dużo jest zwykle tęsknoty za ojczyzną. Wychodźca polski na otoczenie swe dokoła patrzy przez pryzmat tej tęsknoty. Wydaje mu się, że cały kraj jest smutny i nudny, że niema tu nic — coby mogło zastąpić mu to, co zostawił za sobą. Serce jego opamiętuje jałowa pustka i żal. Gnębiony tęsknotą, gdy może — powraca do kraju swego co rychlej. I dopiero w domu poznaje — przypomi-

na sobie wszystkie zalety i piękności Parany.

Osiadły od dłuższego czasu wychodźca, chociażby dorobił się tyle grosiwa, by mógł powrócić do starego kraju — pozostaje w Paranie, przywykły do miejscowych warunków i pozbywszy się już tęsknoty; a gdy czasami spróbuje powrócić na stare śmiecie rodzinne; oswoić się ze stosunkami dawnymi nie jest w stanie i znowu wędruje do Parany. Podobne wypadki nie są rzadkością.

Tęsknota taka nawet jeszcze przez jakiś atawizm u niektórych osobników odzywa się





niekiedy. Znałem młodą parankę: — wiedziała ona o Polsce ze słyszenia jeno, tem niemniej odczuwała nieustanną tęsknotę do tej dalekiej szarej krainy, — marzyła nieraz o śniegu i srogiej zimie — i wciąż pragnęła wyjazdu do Polski. Parana — kraj bogaty cudowną, bujną roślinnością i złotem słońca zwrotnikowego zalaną, kraj wiecznej wiosny, nie może być posępny, ani też nie może urabiać charakterów ludzkich i usposobień na nudne i smętne. Czyni je takimi tęsknota. To też, — jak wszędzie gdzie tylko są ludzie, — bawią się tam koloniści nieraz wesoło, ku czemu częste obchody świąt narodowych i uroczystości kościelne dają bodziec. W Paranie — najrzadziej chyba można znaleźć twarz stroskaną i zgnębianą u stałych mieszkańców; wszystko to postacie zdrowe, harde i pewne siebie.

W kolonii Affonso-Penna, liczącej wówczas (r. 1908) zaledwie rok istnienia, przeważnie, jak prawie wszędzie w Paranie, z polaków złożonej — kolonistami byli rzemieślnicy, wyrzuceni z kraju przez wicher polityczną, nieobznajmieni wcale z uprawą rolną. Kolonia założona została na „kampie“ przez rząd centralny z Rio-Janeiro, jako próba powodzenia i możliwości gospodarstwa kolonialnego na wzgardzanych dotychczas „kampach“. Wszystkie prawie kolonie, zakładane poprzednio, były leśne. Aż do czasu zupełnego zagospodarowania się — do pierwszych zbiorów — rząd wyznaczył zapomogę 500 rejsów na każdą osobę dziennie, a raczej — zarząd kolonii wydawał t. zw. „wali“ (pokwitowania), zmieniane na artykuły spożywcze w „wendzie“, znajdującej się w pobliskiej mieścinie Sao-Jose dos Pinhaes, nazywanej również przez polaków Józefowem. Prócz tego dawał nasiona traw i zbóż na siew i narzędzia ręczne do uprawy gleby i trzebień zarosli i krzewów. Kamp tu — jak i w całej Paranie — przedstawia się mniej lub więcej falisto, z łagodną pochyłością wzgórz i pagórków. Doliny i wądoły porośnięte są wysokimi piniorami (*Araucaria brasiliensis*), imbują twardą i innemi drzewami parańskimi, podszytymi zieloną ożyną i takuarą (trzcina). Grzęzawiska i topiele, t. zw. „baniady“, ciągną się dolinami aż do brzegów rzeki Iguassu. „Baniady“ te pełne są węzów o różnych barwach i żab, wydających dźwięki dziwnie płaczące, czyniące chwilami wrażenie płaczu dziecięcego. Brzmi to zupełnie wyraźnie „oj-ój-ój“. Są też t. zw. „kowale“, które wydają odgłos metaliczny, podobny do lekkich uderzeń młota w blachę.

Affonso-Penna odległe jest od Kurytyby o 12 kilometrów. Bliskość stolicy stanowej czyni

kolonię przedsiębiorczą i dość ruchliwą — pomimo iż gleba uznana jest za jedną z gorszych w Paranie. Osadnicy przeważnie uprawiają warzywa, zbywane w Kurytybie, trudnią się mleczarstwem i trochę handlem. Tu również osiedli sitarze z Lubelskiego, mający łatwy zbyt wyrobów swych w Kurytybie. W przyszłości projektuje rząd stanowy budowę linii kolejowej przez Sao Jose i tramwajowej z Kurytyby — co ogromnie podniesie dobrobyt kolonii. Dziś Affonso-Penna przedstawia się oku podróżnika bardzo dodatnio: schludne drewniane domki pokryte czerwoną dachówką, ogrodzone drewnianymi sztachetami, parę „wend“ (sklepów), zbudowanych w stylu miejscowym; działki ziemi obsiane gryką, koniczyną, pszenicą, żytem, ryżem i t. d. Inaczej było w r. 1908, kiedy stały jeszcze budy drewniane bez okien, nieogrodzone — gdzieniegdzie tylko było widać małe grządki ziemi, obsiane kukurydzą, batatami, kartoflami, ryżem i gryką; — tu i owdzie kolonista stawiał szopę dla bydła, klecił chlew... Nie było jeszcze pieców — strawę gotowano na wolnem powietrzu, rozkładając ognisko.

Mieszkałem wówczas, jak inni koloniści, w takiej budzie z piniorowych desek skleconej nad „baniadą“ pod grupą smukłych piniorów. O parę kroków iście parański podzwrotnikowy gąszcz oczekiwał pracy rąk ludzkich, pełen zwalonych próchniejących i zbutwiałych olbrzymów leśnych, splątanych, spowitych lianami i potworną siecią płatorosli; — tworzyło to zieloną nieprzebytą ścianę kolących krzaków, jeżyny z zielonemi jagodami — z takuarą, zwisającą jak olbrzymie łuki i półkola... Olbrzymie grubopienne paprocie wznosiły ku sklepieniom leśnym wielkie wachlarze swych liści; mocarny cedr brazylijski wdział na swe bary wiekowy płaszcz storczyków o przepięknych barwach: szkarłatnych, lazurowych i szafirowych; imbują jak skała twarda okryła się długą, starczą „brodą Absalona“. O kilkanaście kroków od mej siedziby, w norze ziemnej mieszkał szaro-zielonkawy jaszczur, polujący wciąż na jaja, wysiadywane przez kury i inne ptactwo domowe pod moim domkiem. Posądzam go również o zjadanie piskląt, których po każdym powrocie wieczornym na zwykłe siedlisko kurze nie mogłem się doliczyć. Przez las dziewiczy wyciąłem małą dróżkę przy pomocy siekiery, piły i „fojso“ do „pikady“ (drogi kolonialnej), przeprowadzanej przez zarząd kolonii włąb Affonso-Penna aż do Sao-Jose dos Pinhaes. Zamieszkiwałem część zachodnią kolonii, składającej się z leśnych obszarów i bagnisk, ciągnących się do brzegów Iguassu. „Pikada“ owa, wyszedłszy z lasu mego, biegła czerwoną



wstęgą przez step (kamp) falisty, zielony, ni-  
knąc hen! na widnokręgu. Gdzieniegdzie na sza-  
firowem tle nieba zieleniły się małymi gru-  
pami wielkie parasole piniorów.

Ziemia kempowa ma zabarwienie całkiem  
czerwone, różniąc się tem od leśnego i bło-  
tnistego czarnoziemiu; jest to t. zw. w nauce  
„laterit“, odznaczający się dużą urodzajnością;  
rodzaj ten ziemi rozpowszechniony jest w gorą-  
cej strefie, gdzie są obfite opady atmosferyczne,  
jak np. w Paranie, sprzyjające bujnej wegetacji;  
formuje się laterit przez zwietrzenie gnejsu,  
łupków krystalicznych, bazaltu i t. d. W Bra-  
zylji stanowi główną część gruntów; jest to czer-  
wona, ceglasto twarda, mocno żelazista glina.

W przeddzień wigilii Bożego Narodzenia  
szedłem ową „pikadą“ do jednego z sąsiadów,  
mieszkającego na pustym, bezleśnym kempie na  
wzgórzu, wezwany na mające tam odbyć się  
zgrupowanie osadników polskich w Affonso-  
Penna.

W przeddzień wigilii nadeszła bowiem hiobo-  
wa wieść, że przez Kurytybę lecą niezliczone hufce  
szarańczy... By godnie powitać tych gości, szedł  
ten i ów o poradę i wskazówkę do sąsiadów.  
Zgrupowanie naznaczono o porze przedwie-  
czornej.

Szedłem tam o purpurowym przepysznym  
zachodzie słońca, które kładło tak przedziwne  
blaski na tę krwawą ziemię na drogach, taką  
aureolą szkarłatów wieńczyło wachlarze arau-  
karyi, a domki kolonistów taką królewską pur-  
purą, tak szalenie mocnej barwy stroiło, iż sta-  
łem przepelniony zachwytem, zdumiony ogro-  
mem piękna — widowiskiem nieznanem.

Gdym przyszedł, już było uradzono, aby  
straszego napastnika, huf skrzydlaty złowie-  
szczych owadów, miejscowym sposobem pra-  
ktykowanym w Paranie, t. j. ogromnym hała-  
sem i krzykiem powitać. Gdy późną nocą roz-  
chodziliśmy się — ktoś przypominał, iż jutro  
wigilia... Wszyscyśmy o tem zapomnieli... Dzi-  
wnem nam się wydało Boże Narodzenie wśród  
upałów i zieloności, wśród spiekoty słonecznej,  
bez tradycyjnej szopki, śniegów, zimna i owej  
długiej nocy grudniowej... Ten i ów westchnął —  
tęsknota cicha, niezmierna, święta wionęła na  
serca nasze, na głowy zadumane, na te wy-  
chodzące zuchwałę oblicza... Tęsknota cicha  
za rodzinnym krajem.

Wracał każdy do domu swego z ciężkiem  
sercem — z myślą daleką o ojczystym kraju...

Nazajutrz zaledwie złotogrzywe upalne słoń-  
ko z gęstych oparów i mgieł wilgotnych wypły-  
nęło na czyste bez skazy szafirowe sklepienie,  
pojawiły się migocące tysiącami szklistych skrzy-

delek pierwsze kohorty szarańczy. Szły nisko  
po nad „baniady“ i topieliska, spadając ciężko  
na zer...

Gdzieś z końca kolonii — z dachu budy  
wychodzącej rozległ się gromki grzmot uderzeń  
w blachę — porywczy, hałaśliwy, niesforny...  
Wnet jak na komendę zatrajkotały, zastukały  
hałasy i łopot potworny ze wszystkich stron; —  
coraz mocniejsze, coraz gęstsze. Zaczęto strze-  
łać z broni palnej. Powyciągano wszystkie na-  
czynia metalowe: miednice, rondle, patelnie...  
Krzyczały dzieci, wrzeszczały kobiety, hukali  
mężczyźni. Cała ludność kolonii uczyniła hałas  
dziki, niesforny, namiętny. Zdawało się, że ca-  
ła ludność oszalała. Strzały rozlegały się nie-  
ustannie. Sądziłby kto, że dawni autochtoni  
potwornym hymnem witają boga — jasne, pro-  
mienne słońce... Szarańcza szła ławą gęstą, aż  
przyćmiła jasny krąg słoneczny. Nie siadała je-  
dnak — podnosiła się coraz wyżej i leciała —  
leciała — leciała...

Gdzieniegdzie spadały ciężko, niby szkliste  
kamyki rzucane niewidzialną ręką, marudery tej  
olbrzymiej armii owadów; wnet dzieci i kobiety  
rzucały się na nie z wściekłością, tłukąc je  
bez miłosierdzia. Zapalono ogniska z suchych  
traw i smolnych gałęzi, by ploszyć owady dy-  
mem. Niezliczone te zastępy szły przez parę  
godzin — poczem zaczęły widocznie rzednąć,  
coraz wyżej podnosząc się, coraz mniej liczne,  
coraz rzadsze, aż ku wieczorowi resztki tylko  
maruderów spadły na nieuprawny kamp na osta-  
tniej linii kolonialnej od strony Sao-Jose dos  
Pinhaes.

Hałas i gwary już dawno ucichły. Słońce  
na zachodzie, równie pyszne, równie majesta-  
tyczne — królewsko-piękne, jak wczoraj — ca-  
łowało kamp cały mocną czerwienią, krwawą  
pożogą blasków. W kolonii przygotowywano  
się do obchodu wigilii — każdy u siebie, każdy  
między swemi. Wigilijna uczta nie była podob-  
na do uczt w starym kraju: brakło białych  
opłatków i siana na stole i ryb — a nam z kre-  
sów dawnej Rzeczypospolitej — i „kutii“. Było nato-  
miast kwaśne wino parańskie, słodkie banany,  
kaszas (wódka z trzciny cukrowej) i wieprzo-  
wina. Mój sąsiad spożywał delikatne białe mię-  
so pancernika, którego przydybał na swoim  
„szakrze“ i zatłukł kijem. Była również man-  
dyakowa mąka (farinha), nieodłączny fiżon (fa-  
sola czarna), miód leśny parański, wonne po-  
marańcze i mleko kozie (gdyż na krowie nie  
każdego było stać). Uczta była obfita. Nada-  
remnie szukaliśmy owej pierwszej betleemskiej  
gwiazdy; gwiazdy były, ale nie nasze — inne.  
Patrzyliśmy długo w ciemne sklepienie niebios





i nie znajdowaliśmy ani jednej znanej nam konstelacji — to niebo było z innego świata...

Pozdrowiwszy się uściskiem dłoni i pocałunkiem ust życzliwych, zasiadliśmy w milczeniu do wieczerzy wigilijnej na olbrzymim pniu pod kolumnami piniarów. Palilo się jasno trzaskając iskrami ognisko, podsycane smolistymi gałązkami araukaryi. Na koronach drzew grały nieustannie metaliczną nutą cykady; migwały przelatując, ciągnąc w mrokach za sobą długie smugi światła, wielkie latarki (światliki), niby latarnie żywe. Szeleszcząc w trawach, szybko przesunął się gdzieś przez topielisko jaszczur. Wyjec (bużiu) zakrzyczał przeraźliwie. I cisza nocna zaległa — poważna, majestatyczna, podzwrotnikowa. Słodka, pełna tajemnic jest noc parańska...

Po uczcie zadumani — siedzieliśmy długo pośepni; myśli nasze były tam — za oceanem. Ktoś ciężko westchnął i zaklął.

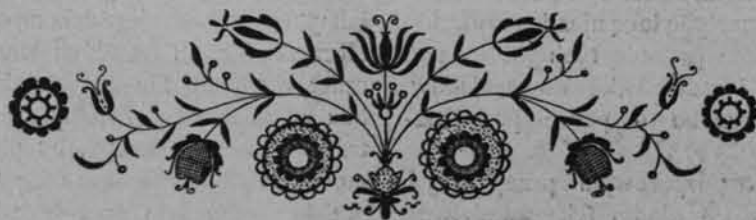
Wtem gdzieś od kampu, w dziwnej ciszy

nocnej, ozwała się pieśń mężka, samotna, niepewna z początku. Pieśń dawna, znana dobrze od pieluch, od kolebki... Spowiła jenó w srebrną tęsknotę — umiłowania dźwiękiem dziwnym. Szła echem coraz śmielszym i dźwięczniejszym, aż oto podchwyciło ją kilka silnych głosów — mocnych, pełnych, i uderzyły dźwięczną falą w odwieczne wierzeje puszczy; na topieliska się nisko kładła, aż umilkły zdziwione płaczliwe języki żab. A gdy pierwsza pieśń ucichła — szły wnet inne, pieśń za pieśnią — niewstrzymaną falą — to ciche i słodkie jak łany szemrzące oczyste, — to orle i burzliwe, łamiące szaleńczą nadludzką mocą wszystkie więzy nieznośne, wrogie... To były pieśni z Polski.

Słuchały jej serca nasze; — słuchały ją wspaniałe kolumny piniarów, niby portyki świątyni przedwiecznej matki przyrody; słuchały jej płazy, jaszczury potworne i dziki zwierz.

Tak obchodziliśmy wigilię w Affonso-Penna.

*W. Piotrowski.*



## Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



W środę dn. 4 b. m. w wielkiej sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie odbyło się zebranie miesięczne Pol. Tow. Krajoznawczego pod przewodnictwem prezesa K. Kulwiecia, który, zagajając zebranie poświęcił

kilka słów wspomnieniu zmarłych: prezesowi Oddziału Kaliskiego P. T. Kr. Stanisławowi baronowi Graevemu, oraz członkowi Tow., prezesowi sądu konkursowego, Stanisławowi Krzemińskiemu, przyczem zebrani uczcili pamięć Ich przez powstanie. W dziale komunikatów o działalności Zarządu za ubiegły miesiąc przewodniczący zakomunikował o wizytowaniu przez członków Zarządu Głównego oddziałów prowincjonalnych: w Olkuszu, Jędrzejowie, Miechowie, Radomiu, Łowiczu, Kielcach i Kaliszu.

W uroczystościach jubileuszowych, poświęconych Szkole Głównej, jako delegaci Tow. przyjmowali udział: prezes K. Kulwiec i wiceprezes Al. Janowski.

Pod budowę schroniska w Ojcowie postanowiono nabyć działkę gruntu w Dolinie Sąspowskiej, wykonanie sprawy tej polecając Oddziałom w Olkuszu i Zagłębiu.

Stacya meteorologiczna Tow. przeniesiona została z Nowej Słupi — na Św. Krzyż. Ukończono reorganizację członków-korespondentów; nowych członków tej kategorii mianowano 138 — we wszystkich powiatach Królestwa.

Wyszła z druku pierwsza część prac, pozostałych po ś. p. Wacławie Nałkowskim, p. t. „Terytorium Polski Historycznej jako indywidualność geograficzna“; — wydawnictwo to stanowi niejako wstęp do „Materiałów do geografii Polski“, które w 2 tomach ukażą się w r. p.

Wyszły z druku 3 nowe seryje pocztówek krajoznawczych: 1) II serja krajobrazów polskich i 2) ciąg dalszy zamków polskich i 3) seryja widoków Jury Krakowskiej (razem 20 pocztówek).

Do wszystkich członków, zapisanych na liście warszawskiej Zarząd rozesłał następującą odezwę w sprawie Daru Gwiazdkowego na Dom Krajoznawczy w Warszawie:

„Pomyślny rozwój Polskiego Tow. Krajoznawczego po 6 latach wytężonej pracy licznego grona pracowników na zaniedbanej niwie krajoznawstwa ojczystego doprowadził instytucję tę do stanu, w którym dalszy rozwój w dzisiejszych ramach już się nie mieści.

Księgozbiór Towarzystwa oraz jego zbiory krajoznawcze urosły do takich rozmiarów, że w obecnym lokalu (Aleje Jerozolimskie 29) nie tylko do





## TYPY LUDOWE.



fol. ze zbiorów St. Graeego. GOSPODINI Z KAMIONACZA, POW. SIERADZKI,

użytku szerszego ogółu lecz i dla własnych członków udostępnić być nie mogą.

Czynności licznych Komisji i Sekcji Towarzystwa z powodu ciasnoty lokalu narażone są na liczne utrudnienia i niedogodności.

Urządzenie zaś stałych wystaw krajoznawczych, dających, jak to doświadczenie wystawy „Zdobnicztwa ludowego“ i „Krajobrazu polskiego“ wykazały, wiele pożytku naukowego dla zwiedzającego ogółu, dla Towarzystwa zaś — znaczne dochody, w obecnych warunkach jest wprost wyłączone.

Przyjmując to wszystko pod uwagę, przyjść trzeba do wniosku, że najważniejszym w chwili obecnej do spełnienia zadaniem, jakie Towarzystwo Krajoznawcze podjąć winno, jest nabycie własnej siedziby.

Pod względem liczebności członków Towarzystwo nasze zajmuje jedno z pierwszych miejsc w kraju. Pomyślnie więc rozwiązanie tego zadania siłami i środkami zbiorowymi nie może nastęrczać nieprzewidywanych trudności. To też Zarząd, zachęcony przez uchwałę zebrania z dnia 2 października, postanowił podjąć szereg zabiegów ku pozyskaniu niezbędnych na ten cel funduszy i poddać szczegółowemu rozważaniu kwestye: gdzie, kiedy

i w jakich rozmiarach stanąć winna własna siedziba Towarzystwa pod nazwą „Dom krajoznawczy“ w Warszawie.

Zawiadamiając WP. o naszym zamiarze, zapraszamy Go (Ją) do czynnego z nami współdziałania.

W ciągu najbliższych miesięcy odbędzie się Zebranie Ogólne Członków naszego Towarzystwa — w celu szczegółowego omówienia obchodzącej nas sprawy; na Zebraniu tem Zarząd między innymi zda sprawę ze swoich dotychczasowych w tym kierunku zabiegów, oraz z zadeklarowanej mu przez członków Towarzystwa pomocy.

Wykonywając wreszcie uchwałę Zebrania z dnia 2 października, mamy zaszczyt odwołać się do osobistej ofiarności Pańskiej na nasz „Dom Krajoznawczy“ w Warszawie i o złożenie na cel ten dowolnego daru g w i a z d k o w e g o.

W przekonaniu, że nikt z członków Towarzystwa naszego nie zechce pozostać obojętnym dla tak doniosłej dla krajoznawstwa polskiego sprawy, by według możliwości swej wesprzeć zamierzone dzieło, prosimy uprzejmie o nadesłanie do Kancelaryi Towarzystwa swej deklaracji przed upływem bieżącego miesiąca.

Niech w D o m u N a s z y m niczyjej nie zabraknie cegły“.

Nowych członków w ubiegłym miesiącu Zarząd przyjął 39 (od początku roku 539).

P. Al. Janowski wygłosił następnie w podniosłem przemówieniu wspomnienie, poświęcone zasługom Szkoły Głównej dla sprawy narodowej wogóle, a dla krajoznawstwa polskiego w szczególności.

W końcu p. Cz. Łopuski wygłosił referat o klimacie Polski, wyjaśnienia swoje opierając na pracy prof. Eug. Romera.

Zebranie ukończono o godzinie 10 m. 15 wieczorem.

Następne z kolei zebranie miesięczne odbędzie się dn. 22 stycznia.

+ Dnia 24 listopada i 2 grudnia zbierał się w Sosnowcu sąd konkursowy w osobach pp. J. Drzewieckiego, W. Drzewieckiego, Wrzesińskiego, Zalegi i Strzembosza celem rozpatrzenia i przyznania nagród pracom przedstawionym na konkurs, ogłoszony przez sekcję fotograficzną Oddziału P. Tow. Krajozn. w Zagłębiu. Ogółem nadesłano prac 8, a mianowicie: 1) 21 zdjęć pod godłem „Hart“, 2) 25 zdjęć p. g. „Światłocien“, 3) 18 zdjęć p. g. „S“, 4) 10 p. g. „Wołyniak“, 5) 46 zdjęć i 7 powiększeń pod g. „Wawel“, 6) 24 p. g. „Lux“, 7) 8 zdjęć i 4 powiększenia p. g. „Sęp“ i 8) 16 zdjęć p. g. „Ridax“. Sąd konkursowy wyróżnił z pośród przedstawionych prac zdjęcia, oznaczone godłami „Lux“ i „Wawel“, jako odznaczające się bardzo dobrem pod względem technicznym wykonaniem, szczególnym dobrem tematów i artystycznym ich traktowaniem.



Pierwszą nagrodę uchwalono większością głosów przyznać autorowi pracy p. g. „Wawel“ za wielką różnorodność zdjęć, dużą ilość godnych uwiecznienia, bo ginących zabytków i bardzo staranne wykonanie; nagrodę drugą przyznano autorowi pracy p. g. „Lux“, za prace odznaczające się jednolitością i również dobrem wykonaniem. Jednocześnie sąd konkursowy w uznaniu faktu, że i pomiędzy pracami 6 pozostałych uczestników konkursu znajduje się bardzo dużo zdjęć zupełnie dobrych, a nawet artystycznych, zaproponował wyróżnić następujące prace: 1) oznaczone godłem „Hart“ odznaczające się miękkością i subtelnym wykonaniem, 2) oznaczone godłem „Sęp“, zasługujące na uwagę szczególnie z powodu dokonanych powiększeń, 3) prace p. g. „Świątocien“, jako zawierające dużo ciekawych tematów i zupełnie poprawne pod względem technicznym. Pracom tym sąd przyznał listy pochwalne. Wreszcie za zasługujące na zaszczytną wzmiankę uznał sąd pracę pod godłem „S“. Po otworzeniu kopert z nazwiskami okazało się, że nagroda I przypadła w udziale p. Rogowskiemu, II p. Musiałowi. Listy pochwalne pp. Vorbrodtowi, Kaliszekowi i Pietraszewskiemu; wzmiankę zaszczytną otrzymały prace p. Rychnera.

oooooooo

## Z piśmiennictwa.

Otrzymał numer okazowy nowego tygodnika obrazkowego dla ludu „Praca Zbożna“, który będzie wychodził w Warszawie od 1 stycznia. Sądząc z tego numeru pismo będzie utrzymane w duchu wybitnie narodowym i katolickim. Dobór artykułów staranny, między autorami spotykamy nazwiska głośne we współczesnej literaturze polskiej. Ilustracje liczne i dobrane starannie. Cena 3 rb. rocznie.

## Odpowiedzi Redakcyi.

*Pani I. Wolińskiej w Zagłębiu.* W danym wypadku data ta lub inna nie stanowi. Pierwszorzędnym raczej jest tu fakt, iż narzędzia tortur znaleziono w Krakowie, w podziemi ratusza, i że byłyby one bezpowrotnie przepadły, samowolnie sprzedane na szmelc. Autor artykułu w № 47, „Ziemi“ uczeń Jana Matejki oraz Izydora Jabłońskiego, zbierający od 1881 r. materiały do dziejów tortur w Polsce, oparł się w podaniu daty na ustnej tradycji, zanotowanej w Krakowie wiele lat przed założeniem „Domu Matejki“ oraz wydrukowaniem katalogu, opartego w tym punkcie li tylko na takiej samej tradycji ustnej. Widząc zainteresowanie się Pani sprawą tortur w Polsce, autor prosi o laskawe zebranie w Sosnowcu i okolicy tych tradycji co do tortur (wianek słomiany, skrzynie, basy, dyby, gąsiory, kajdany i t. p.), które wśród ludu i mieszczaństwa mogły się jeszcze zachować (nawet z czasów pańszczyźnianych). Wiele interesu obyczajowego i naukowego leży w takim surowym nawet materiale.

oooooooo

## SPROSTOWANIE.

W artykule „O wykopaliskach w Naczy“ w № 49 „Ziemi“ na str. 788, szp. 1, w. 12 od góry, zamiast „warstwy“ winno być „zarstwy“ (okruchy zwietrzałego granitu), wiersz 2 od dołu zam. „z wyszczerbionym“ winno być „ze szczerbionym“.

## Od Administracyi.



Prosimy Sz. Prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na 1913 r. Zwracamy też uwagę na zapowiedź wydawnictwa albumów „Ziemi“ na warunkach ulgowych dla prenumeratorów (p. Nr. 48 „Ziemi“).

Następny numer „Ziemi“ wyjdzie 1 stycznia 1913 r.

TREŚĆ: *Kazimierz Nitsch* — Rzekomi „wendowie“ w Wielkopolsce (z 2 ryc.). *Franciszek Klein* — Gdańsk (z 4 ryc.) (dok.). *W. Piotrowski* — Wigilia w Paraniu. Z Pol. Tow. Krajoznawczego. — Z piśmiennictwa. — Odpowiedzi Redakcyi. — Poza tekstem: Nad Morskim Okiem. Gospodyni z Kamionacza, p. sieradzki.

Winiętą tytułową i ozdoby w tekście (motywy kaszubsko-pomorskie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Józef Mazurkiewicz. — Kłisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec.